



NA NOWY ROK

Styczeń jest dobrym momentem, aby podsumować dotychczasową działalność i opowiedzieć o planach na nadchodzący rok. To, co udało nam się osiągnąć, to wielomiesięczna obecność na łamach „Mówią wieki” i życzliwość, z jaką Państwo reagowali na nasze publikacje. Cieszą nas zwłaszcza głosy nauczycieli. Chwalicie nas – z czego jesteśmy dumni – a artykuły zamieszczone w „Mówią wieki w szkole” są czytane i wykorzystywane podczas zajęć. Z opinii napływających do redakcji wynika, że najbardziej przypadła Państwu do gustu praca ze źródłami różnego typu. Cenne jest dla nas to, że materiały przez nas przygotowywane są przydatne na lekcjach historii, kołach historycznych, czy podczas przygotowywania się do różnorodnych egzaminów. Uznanie czytelników budzi także pokazywanie ciekawych i alternatywnych metod uczenia historii, a także niekonwencjonalny sposób jej przedstawiania.

W rozpoczynającym się roku postaramy się nie zawieść Państwa oczekiwań. Będziemy kontynuowali rozpoczęte działania. Na łamach „Mówią wieki w szkole” nadal

znajdą się stałe działy poświęcone historii w karykaturze czy interpretacji źródeł historycznych. Nie zabraknie także konkursów ze Szkolną Ligą Historyczną na czele. Będziemy również prezentować nowoczesne formy edukacji, wydarzenia historyczne, a także nowe podręczniki i pomoce szkolne.

Zapraszamy wszystkich do dzielenia się opiniami na temat naszego dodatku edukacyjnego oraz przesyłania do redakcji swoich pomysłów i gotowych artykułów. W styczniowych „Mówią wieki w szkole” przekonacie się, jak można na lekcjach historii wykorzystać karykatury przedstawiające kolonializm z początku XX wieku, a także jak wyglądała wiosna w naszpikowanych pięknymi miniaturami *Bardzo bogatych godzinkach księcia de Berry*. Opowiemy, jak przebiegła akcja „Światło wolności” i zachęcimy do zwiedzenia wystawy opowiadającej nie tylko o starożytnych hutnikach. Wreszcie wybierzemy się do wołyńskiego Krzemieńca, by poznać historię tamtejszego sławnego liceum.

Wojciech Kalwat,
redaktor naczelny „Mówią wieki w szkole”

Dr Jarosław Krawczyk, redaktor naczelny „Mówią wieki”,
wśród laureatów ubiegłorocznej edycji Szkolnej ligi Historycznej



Partnerzy zadania

Fundacja
„Historia i Kultura”

BELLONA

1914 – pamiętna data

Nasz konkurs rozkręca się. Pierwsza runda sygnęła ciekawymi pracami. Otrzymaliśmy wypracowania, prezentacje multimedialne, filmy, gry edukacyjne i dzieła plastyczne. Choć napłynęło ich naprawdę dużo i wiele jest wartych pokazania, to ze względu na brak miejsca prezentujemy tylko niektóre. Ich autorzy mogą być z siebie dumni, dla innych zaś niech staną się natchnieniem.

Drugi etap konkursu był organizowany wspólnie z Muzeum Pałacem Króla Jana III w Wilanowie, a prace oceniają wilanowscy muzealnicy. Niebawem ogłosimy wyniki tej nietypowej rundy.

Tymczasem ogłaszamy kolejne zadanie. W 1914 roku wybuchła wojna, którą współcześni nazwali wielką, a potomni pierwszą światową. Przyniosła nie tylko ogromne straty, ale także wolność wielu uciskanym narodom. Z tej wyjątkowej okazji skorzystali także Polacy.

Jednym z głównych architektów niepodległości był Józef Piłsudski. Jego działalność – często mitologizowana – symbolizowała walkę z bronią w ręku, a także dalekosiężną myśl polityczną. W 1914 roku, wyprowadzając z Krakowa swoją Pierwszą Kadrową, Piłsudski rozpoczął dramatyczne zmagania o Polskę, choć wówczas bardzo niewielu Polaków wierzyło w ostateczny sukces.

**Wojciech Kalwat,
komisarz Szkolnej Ligi Historycznej**

ZADANIE – RUNDA V

Zbliżająca się 100. rocznica wybuchu pierwszej wojny światowej, a co za tym idzie rocznica wymarszu pierwszej kompanii kadrowej Legionów, jest pretekstem do kolejnego zadania. Zaprojektujcie plakat promujący obchody tego wydarzenia. Pamiętajcie, że nie czekamy na gazetki ścienne, a oprócz warstwy plastycznej prosimy o pisemne uzasadnienie dla umieszczenia na plakacie konkretnych postaci lub symboli. Na prace konkursowe czekamy do 1 marca 2014 roku.



Portret trumienny Jana III Sobieskiego, praca Alicji Bulkiewicz, Malwiny Cybulskiej i Agaty z Gimnazjum im. Marii Skłodowskiej-Curie w Kaliszu Pomorskim



Gra *Monopoly* autorstwa Maksymiliana Nowaka i Mikołaja Bachorza z LO im. Powstańców Wielkopolskich w Środzie Wlkp.



Historyczne „kolo fortuny” wykonane przez Agatę Maciejowską, Julię Herbę i Mateusza Wiśniewskiego z ZSP w Kaliszu Pomorskim

Liceum Krzemienieckie dziełem rozsądku zwyciężonych

W pierwszych latach XIX wieku na Wołyniu jeden uczeń szkoły elementarnej przypadał na 226 mieszkańców. Na Podolu było jeszcze gorzej (na 281), a w guberni kijowskiej wręcz katastrofalnie – jeden na 965 osób. Na obszarze kuratorii działał tylko Uniwersytet Wileński. Stąd pomysł stworzenia czegoś więcej niż gimnazjum gubernialnego.

Po objęciu władzy przez cara Aleksandra I (1801) sytuacja szkolnictwa w zaborze rosyjskim zmieniła się zasadniczo. Powstały realne – choć krótkotrwałe – możliwości odrodzenia, a nawet rozbudowania sieci szkół na ziemiach Rzeczypospolitej. Nie miała w tym zasługa ks. Adama Jerzego Czartoryskiego, który w 1803 roku został kuratorem Wileńskiego Okręgu Naukowego. Carski ukaz przewidywał otwarcie w guberni wołyńskiej podległego Uniwersytetowi Wileńskiemu gimnazjum gubernialnego, któremu miały podlegać szkoły powiatowe i elementarne. Realizację tych planów w guberni wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej Czartoryski powierzył Tadeuszowi Czackiemu, mianując go wizytatorem nadzwyczajnym. Ten namówił do współpracy Hugona Kołłątaja, który po zwolnieniu z austriackiego więzienia powrócił w rodzinne strony na Wołyń.

Kołłątaj zdecydował, że siedzibą gimnazjum będzie Krzemieniec. Był ku temu dwa główne powody: nie było tu rosyjskiej administracji, a istniejące w mieście zabudowania pojezuickie i bazyliarskie mogły być łatwo zaadaptowane na potrzeby szkoły.

Mimo wszystko twórcy Gimnazjum Wołyńskiego z nieufnością odnosili się do reform Aleksandra I; dlatego m.in. pragnęli rozbudowywać szkołę dzięki prywatnym funduszom. Ponadto obaj zdawali sobie sprawę z procesów zachodzących w społeczeństwie: spora część polskiej szlachty biedniała, a tradycyjne drogi kariery wojskowej i duchownej zamykały się wobec braku własnej armii i zmniejszającej się liczby klasztorów. Edukacja publiczna miała tworzyć nowe możliwości. Programy szkolne tworzone więc tak, by nabyta wiedza stanowiła punkt wyjścia do różnych specjalizacji.



Ks. Adam Jerzy Czartoryski



Tadeusz Czacki



Hugo Kołłątaj

W Gimnazjum Wołyńskim nauka rozłożona była na cztery jednoroczne klasy i trzy dwuletnie kursa (w sumie trwała dziesięć lat). Pierwszym etapem nauki było gimnazjum niższe o charakterze ogólnokształcącym. Wzorem Komisji Edukacji Narodowej Kołłątaj połączył naukę języka polskiego z łacińskim oraz wprowadził języki francuski, niemiecki i rosyjski. Edukację językową uzupełniały geografia powszechna, arytmetyka i nauka moralności. Część uczniów kończyła na tym edukację, ale większość kontynuowała naukę na tzw. kursach dwuletnich. Wykład był tutaj już czysto uniwersytecki – pisał Michał Rolle – profesorowie nie trzymali się żadnych podręczników, uczniów przesłuchiowano jedynie podczas rocznych egzaminów. Obowiązowymi przedmiotami były: matematyka elementarna z logiką, fizyka, chemia z historią naturalną, historia powszechna z geografiami, prawo i literatura; nadobowiązkowe to: greka, język angielski, mechanika i budownictwo praktyczne, gramatyka porównawcza języków słowiańskich i bibliografia. Położono duży nacisk na wychowanie fizyczne.

INAUGURACJA Z POMPĄ

Gimnazjum Wołyńskie rozpoczęło działalność 1 października 1805 roku, przyjmując 280 uczniów. Inauguracja stała się wzorem dla wszystkich następnych uroczystości szkolnych. Na popisy szkolne tłumnie zjeżdżali rodzice uczniów, a gimnazjum budziło coraz większe zainteresowanie. Niektórzy konstatawali, że była to pompa, feta, przepych i wyraz megalomańskiej próżności Czackiego. Ale Czacki – jak trafnie zauważył znany historyk Stanisław Sławomir Niciejka – pod tym względem wyprzedzał czas. Znał psychikę współbraci. Wiedział, że ta ostentacja, rozmach i [...] szum wokół liceum ma też

walory magnetyzujące, ściągające bogactw darczyńców, bez których funduszy byłaby to kolejna marna szkołka na prowincji.

Ważnym wydarzeniem był zakup i sprowadzenie do Krzemieńca biblioteki Stanisława Augusta Poniatowskiego, zawierającej ponad 15 tys. woluminów, która stała się trzonem zbiorów bibliotecznych gimnazjum. Oprócz niej kupiono zamkowy gabinet numizmatyczny; uzupełniano je kolejnymi zakupami i darami. W chwili likwidacji szkoły biblioteka krzemieniecka liczyła 34 378 tomów i była jedną z najlepiej zorganizowanych i bodaj najnowocześniejszych opracowanych bibliotek polskich. Ponadto w krzemienieckim gimnazjum było doskonale wyposażone laboratorium astronomiczne i fizyczne, w którym w niedziele odbywały się wykłady publiczne z doświadczeniami. Sprowadzono zegar astronomiczny Hochländera, teleskop gregoriański, a także zbiór narzędzi do prowadzenia doświadczeń z elektrycznością. Istniała też stacja meteorologiczna z siecią placówek przy szkołach powiatowych. Zbiory mineralogiczne należały do jednych z najbogatszych w kraju (w 1824 roku obliczono je na 12 348 okazów). Na wyposażeniu szkoły znalazły się dużej wartości artystycznej obrazy, m.in. takich mistrzów jak Rafael, Rubens, Leonardo da Vinci. Chlubą gimnazjum stał się ogród botaniczny, którego współtwórcą był Willibald Besser. Sadzono tu, szczerpiono i eksperymentowano na różnych roślinach. Organizowano ekspedycje naukowe na Wołyń, Podole i Ukrainę, zwłaszcza w dorzecze Bohu i Dniestru. W ogrodzie rosło 8350 gatunków i odmian roślin, a ich nasiona i sadzonki rozdawano bezpłatnie na Wołyniu. Zielnik Bessera liczył 6 tys. roślin.

KADRA PEDAGOGICZNA

Czacki niezwykle dbał o odpowiednią kadrę pedagogiczną, zwłaszcza że marzyło mu się przekształcenie gimnazjum w akademię. Skończyło się na podniesieniu placówki do rangi liceum (w 1819 roku). Czacki ściągnął do Krzemieńca ośmiu wykładowców z Krakowa, czterech z Wilna. Był wśród nich znakomity historyk Joachim Lelewel (choć na krótko), ksiądz Alojzy Osiański – filolog i leksykograf, autor piętnastotomowego słownika frazeologicznego *Bogactwa mowy polskiej*, i Euzebiusz Słowacki, ojciec Juliusza. Kadrę uzupełniali: Karol Mirowski (historia i geografia polityczna),

Jan Witwicki (fizyka doświadczalna i meteorologia), Józef Franciszek Pitschmann (rysunek i malarstwo), a także wielu innych. Profesorowie opracowywali „seksterna”, czyli skrypty, z których później korzystali uczniowie. Z „seksternów” powstawały podręczniki, m.in. do geometrii autorstwa Józefa Czecha i *Początki algebry* Grzegorza Hreczyny. Krzemieniecka profesura mogła drukować swoje prace na miejscu, miasto posiadało bowiem własną drukarnię, prowadzoną przez znanego warszawskiego wydawcę Leona Glücksberga.

Pierwszym dyrektorem gimnazjum został Józef Czech, członek wielu towarzystw naukowych, profesor matematyki z Akademii Krakowskiej. Pełnił tę funkcję do śmierci 24 listopada 1810 roku. Jego następcą, jednak dopiero w 1812 roku, został Michał Ściborski, ceniony kierownik katedry matematyki wyższej. Kolejnymi dyrektorami krzemienieckiej placówki byli: Alojzy Feliński, Antoni Jarkowski i Andrzej Justyn Lewicki. Ten ostatni był uważany za *miernotę skrojoną według potrzeb Nowosilcowa*. A dyrektorował niemal do końca istnienia liceum (do 1830 roku). Po nim stanowisko to objął jeszcze Józef Bokszczanin, którego uważano za gorliwego służbistę.

Szkoła krzemieniecka nie nauczyla politycznego rozsądku, o który tak dbało jej kierownictwo. Preferowano wiedzę. Wszelkie idee były podejrzane. Kadra uważała, że najważniejszym dowodem miłości ojczyzny jest solidne wykształcenie, które pozwoli młodemu pokoleniu dźwignąć społeczeństwo polskie na wyższy poziom cywilizacyjny. Nauczycieli pracujących w liceum w latach 1827 – 1831 Aleksander Kozieradzki w swoich *Wspomnieniach* podzielił na trzy grupy. Pierwszą tworzyli ludzie zupełnie oddani rządowi, m.in. dyrektor Lewicki oraz Józef Bokszczanin, który według marszałka województwa kijowskiego Gustawa Olizara *zatrul moskiewszczyzną Liceum Krzemienieckie*. Drugą grupę tworzyli nauczyciele, co *niemiłym okiem i ze smutnym przeczuciem patrzyli na to systematyczne prześladowanie ducha polskiego w szkołach*. Byli to m.in. Józef Uldyński, profesor historii powszechnej w latach 1818 – 1831, albo Józef Korzeniowski, od roku 1823 profesor literatury polskiej. Trzecia grupa nauczycieli to „mole książkowe” – ludzie bez reszty oddani swojej dziedzinie wiedzy.

UCZNIOWIE: RYGOR I ZABAWA

Ucznia obowiązywał regulamin szkolny. Dostawał osobistego opiekuna, który pełnił obowiązki guwernera i zarazem korepetytora. Był to starszy uczeń z dobrymi wynikami w nauce i wyróżniający się wzorowym zachowaniem. Wydatki ucznia podlegały kontroli. Ubogi otrzymywał lekarstwa za darmo. Jeśli został odznaczony medalem, nauki z tzw. talentów (śpiew i rysunek, fechtowanie i muzyka, jazda konna i taniec) pobierał również za darmo. Gra w karty, fanty, a nawet w warcaby była zabroniona, podobnie jak trzymanie na stacji psów, kotów i ptaków. Nie wolno było posiadać „broni ognistej”, nie godziło się „kurzyć tytoniu”. Wszystkich uczniów obowiązywały skromne mundury.

Prawie cały dzień wypełniała nauka. Między godz. 5 a 8 rano przygotowywano się do lekcji. Uczeń odbywał konsultacje, uczestniczył w porannej mszy świętej i po śniadaniu – punktualnie o godz. 8 – miał obowiązek być w klasie. Lekcje trwały do godz. 16 z przerwą między godz. 11 a 14, poświęconą na odrabianie lekcji zadanych na popołudnie. Po obiedzie uczeń przebywał w szkole, między godz. 16 a 19 spożywał podwieczorek, odrabiał lekcje na następny dzień, a po kolacji, w godz. 20 – 21 utrwał materiał „pod nadzorem”. W niedzielę odbywało się nauczanie religii chrześcijańskiej (katolickiej i grekokatolickiej) w wymiarze jednej godziny. Dwa popołudnia (we wtorek i czwartek) były przeznaczone na rekreację. Starsza młodzież („kursowa”) większość dnia spędzała w szkole (w godz. 8 – 12 i 13 – 19). Niektóre przedmioty nadobowiązkowe (gramatyka powszechna, bibliografia, latem higiena) odbywały się w niedziele i święta przed południem. Te dni były też przeznaczone na powtórki materiału, prace doświadczalne w pracowniach, korepetycje z języków obcych, muzyki i lekcje religii. Wolne od nauki bywały tylko tzw. dni tabelne (dni galowe w carskiej Rosji), przeznaczone na tańce (karnawał) oraz uroczyste święta. Warto dodać, że ulubioną formą rekreacji były majówki, organizowane wspólnie z mieszkańcami Krzemieńca. Miały one uroczystą oprawę oraz opracowany program gier i zabaw. Inną formą rozrywki były zabawy taneczne. W tym celu stworzono instytucję balu publicznego, który w Krzemieńcu nazywano kasynem. Na uczestnictwo w nim należało sobie zastrzyżać dobrymi wynikami w nauce.

Bawiących się uczniów zawsze nadzorowało dwóch nauczycieli. Młodzież pochodziła z różnych środowisk. W niższym gimnazjum spotykali się synowie najbogatszych rodzin szlacheckich i „szaraczki”. Na listach wychowanków są nazwiska mieszczzańskie i chłopskie, polskie, ukraińskie i żydowskie. Najbiedniejsi mogli się ubiegać o stypendium.

Fasada kościoła
w kompleksie kolegium
jezuitów w Krzemieńcu

Spośród wielu wybitnych wychowanków liceum należy wymienić m.in. Antoniego Malczewskiego, Tymona Zaborowskiego, Maurycyego Gosławskiego, Stanisława Worcella, Józefa Antoniego Beaupré, Aleksandra Przeździeckiego (historyka i archeologa, wydawcy wielu cennych źródeł do dziejów ojczystych) oraz Juliusza Słowackiego, który był uczniem w roku szkolnym 1817/1818; sam Krzemieniec zyskał wówczas miano Aten Wołyńskich. To był niespotykany w dziejach fenomen małego, prowincjonalnego miasteczka.

DALSZE LOSY LICEUM

Powstanie listopadowe przyniosło kres działalności Liceum Krzemienieckiego – zamknięto je na fali popowstaniowych represji, a bibliotekę i bogate zbiory przewieziono na nowo powstały Uniwersytet Świętego Włodzimierza w Kijowie. W grudniu 1832 roku Liceum

Krzemieńskie przestało istnieć. Odrodziło się po pierwszej wojnie światowej na podstawie rozkazu Józefa Piłsudskiego z 27 maja 1920 roku. Otrzymało specjalny status jako samodzielna jednostka posiadająca własne mienie. W liceum działały ponadto trzy przedszkola, siedmioklasowa Szkoła Ćwiczeń, Seminarium Nauczycielskie i gimnazjum z daltońskim systemem nauczania, związane z nimi internaty, Średnia Szkoła Rolnicza z internatem, Szkoła Rzemieślniczo-Przemysłowa z internatem, dwa uniwersytety ludowe z internatami, kursy ogrodnicze, Muzyczne Ognisko Wakacyjne i Biblioteka Licealna. Wszystkie placówki funkcjonowały w Krzemieńcu i mniejszych miejscowościach powiatów dubieńskiego i kowelskiego.

W omawianym okresie drogę do szkół licealnych otwierały wyniki egzaminów wstępnych. Uczniowie pochodzili głównie z rodzin od dawna osiadłych na Wołyniu lub napływowych. W 1935 roku w szkołach objętych łącznym mianem Liceum Krzemienieckiego uczyło się ok. 1 tys. dziewcząt i chłopców. Pod egidą szkoły organizowano również kursy malarstwa, rysunku, muzyki oraz imprezy sportowe z udziałem młodzieży z innych szkół z Wołynia i Podola. Wielu uczniów uczestniczyło też w zajęciach słynnej szkoły szybowcowej. Ponadto organizowano odczyty, koncerty, z przedstawieniami przyjeżdżały zespoły teatralne. Krzemieniec znów stał się centrum kulturalno-oświatowym Wołynia.

Pomyślny rozwój Liceum Krzemienieckiego przerwało wkroczenie na Wołyń Armii Czerwonej we wrześniu 1939 roku. Niespełna 30 lat działalności w XIX wieku i 19 lat w okresie Drugiej Rzeczypospolitej sprawiło jednak, że placówka zajmuje szczególne miejsce w historii szkolnictwa polskiego, a także w historii Kresów. □



Dwa oblicza kolonializmu

Źródło A



Na przełomie XIX i XX wieku nastąpiło apogeum kolonializmu, czyli procesu podbijania i podporządkowywania obszarów Afryki i Azji przez mocarstwa europejskiego kręgu cywilizacyjnego. Jednym z obszarów tej ekspansji było Maroko. Od samego początku kolonializm budził gorące spory i był skrajnie odrębnie interpretowany. Znajdowało to swoje odzwierciedlenie także w ikonografii.

Pierwsza prezentowana przez nas ilustracja, opublikowana w listopadzie 1911 roku we francuskim czasopiśmie „Le Petit Journal”, przedstawia wyidealizowaną wizję kolonializmu. Centralne miejsce zajmuje przybyła zza mórz Marianna – personifikacja Francji. Poznajemy ją m.in. po czapce frygijskiej, nakryciu głowy radykałów z czasu rewolucji francuskiej, oraz niebiesko-biało-czerwonej wstawce na sukni. Głowę Marianny zdobi również symbolizujący odniesione zwycięstwa wieniec z liści laurowych. Bije od niej blask, a z trzymanego przez nią rogu obfitości sypie się złoto. Widać doskonale, że Marianna przynosi ze sobą wiele dobrodziejstw.

Podległe jej ludy są zadowolone z jej przybycia. Spoglądają na nią nabożnie i z nadzieją całują jej szaty. W tle widzimy grupę na wielbłądach przyjacielsko pozdrawiającą Mariannę i oficera wojsk kolonialnych szkolącego miejscowego rekruta. Obecność Francji w Maroku miała przynieść jej mieszkańcom pokój, rozwój i dobrobyt; obok Marianny widzimy m.in. dwóch tubylców czytających książkę (symbol edukacji) i trzymających ptąg (symbol rozwoju gospodarczego). Omawiana karykatura dobrze ilustruje popularne wówczas przekonanie o tym, że kraje zachodniego kręgu kulturowego – jako najbardziej rozwinięte – mają szczególne obowiązki wobec ludów stojących na niższym szczeblu rozwoju. Brytyjski pisarz i apologeta kolonializmu Rudyard Kipling określał to jako „brzemie białego człowieka”.

Druga karykatura, opublikowana w kwietniu 1905 roku w niemieckim czasopiśmie „Simplicissmus”, pokazuje odmienną interpretację kolonializmu. Nosi ona tytuł „Tanger” i jest nawiązaniem do wizyty, którą w marcu 1905 roku w tym marokańskim mieście złożył niemiecki cesarz Wilhelm II. Rysownika najwyraźniej nie przekonała cesarska deklaracja o poparciu Niemiec dla niepodległości tego północnoafrykańskiego państwa. Maroko według niego to padnięty wielbłąd rozszarpywany przez koguta w czapce frygijskiej (Francja) i lwa



Źródło B

w koronie (Wielka Brytania). Oba zwierzęta z niepokojem spoglądają na nadlatującego czarnego orła w cesarskiej koronie (Niemcy). Ptak nie ma zamiaru ratować Maroka, i tak już ledwie żywego, chce wziąć udział w podziale łupów. Według karykaturzysty wizyta cesarza w Tangerze była jedynie demonstracją chęci wzięcia udziału w rozbiórce tego kraju między mocarstwa kolonialne, a nie jego ratunku. W tej interpretacji kolonializm był niczym innym, jak brutalną ekspansją prowadzoną w imię własnych zysków, a nie misji cywilizacyjnej, kosztem brutalnie eksploatowanych ludów pozaeuropejskich.

PYTANIA DO ŹRÓDŁA A

- Określ przesłanie alegorii.
- Jak według autora źródła Marokańscy odnoszą się do Francji?
- Zastanów się, jak można interpretować książkę przedstawioną w alegorii.

PYTANIA DO ŹRÓDŁA B

- Jakie państwa symbolizują zwierzęta przedstawione w karykaturze? Po czym można je poznać?

- Wyjaśnij przesłanie karykatury.
- Na podstawie wiedzy pozaźródłowej wytłumacz, dlaczego na karykaturze pojawiają się Francja i Wielka Brytania.

ODPOWIEDZI:

- Francja przynosi ludom kolonialnym dobrobyt, pokój i postęp cywilizacyjny. To pozytywne zjawisko.
- Są wyraźnie zadowoleni z jej przybycia.
- Obecność Francuzów przyczynia się do zwalczania analfabetyzmu i rozwoju oświaty.
- Maroko – wielbłąd, zwierzę kojarzone z Afryką Północną; Francja – kogut w czapce frygijskiej; Wielka Brytania – lew w koronie; Niemcy – czarny orzeł.
- Kolonializm jest brutalną ekspansją prowadzoną kosztem ludów pozaeuropejskich.
- W 1904 roku Francja i Wielka Brytania podpisały umowę (*entente cordiale*) w sprawie podziału stref wpływów w Afryce Północnej (Maroko i Egipt). □



Heidelberg

– miasto studentów

Heidelberg był i pozostał miejscem „zachwycającej czarowności”, niemal idealnym. Tak się dzieje, gdy połączymy piękną architekturę, malownicze położenie, stary i szacowny uniwersytet, tysięczne rzesze studentów oraz największą na świecie... beczkę wina.

Niewiele pozostało miejsc, które zachowały klimat dawnych miasteczek uniwersyteckich, swoistych enklaw zaludnionych przede wszystkim przez profesorów, żaków i ich barmanów; miasteczek żyjących z i dla studentów. W potocznych wyobrażeniach prężą się przede wszystkim dwie legendarne instytucje z wysp Brytyjskich, za wielką wodą zielenieją pokryte bluszczem mury szkół w Providence czy New Haven. Nie wolno jednak zapominać najstarszym i chyba najbardziej malowniczym z nich – niemieckim Heidelbergu, sam Mark Twain pisał o nim: *Nigdy nie cieszyłem oczu widokiem, który miałby*

w sobie tyle pogodnej i zachwycającej czarowności jak ten. W tej części Europy heidelberski uniwersytet wiekiem, ustępuje jedynie uczelniom dwóch wielkich stolic Pragi i Wiednia, ale dorobkiem i specyficznym akademickim klimatem – żadnej.

FUNDACJA RUPRECHTA WITTELSBACHA

Uczelnię założył i dał jej imię Ruprecht I Wittelsbach, hrabia i elektor Palatynatu Reńskiego, człowiek bez wątpienia inteligentny, przekładający pertraktacje i traktaty nad zbrojną próbę sił. Odmiennego zgoła temperamentu był Urban VI, papież, który wydał bullę

erygującą uniwersytet. Wybuchowy i nie dający sobie w kaszę dmuchać Włoch twardo sprzeciwiał się francuskiej supremacji w kurii i gotów był bronić swoich praw do Piotrowego stolca nawet w polu. Skończyło się to wielką schizmą zachodnią. Burze nad Italią nie niepokoiły jednak Palatynatu, gdzie dobiegający już osiemdziesiątki Ruprecht wyznaczył na pierwszego rektora Marsyliusza z Ingphen. Był to zwolennik wyspiarskich nowinek Wilhelma Ockhama i uczeń Jeana Buridana, tego samego, który postawił osiołka przed przekraczającym jego możliwości dylematem: siano czy owies? Po śmierci Marsyliusza to stanowisko objął Mateusz z Krakowa, prawdopodobnie potomek niemieckich mieszczan osiadłych w stolicy Polski (choć istnieją przekazy mówiące o jego szlacheckim pochodzeniu). Kontynuował pracę swojego poprzednika i Uniwersytet Ruprechta-Karola w Heidelbergu przez przeszło wiek pozostawał klasyczną, zorganizowaną w cztery wydziały (prawa, medycyny, teologii i filozofii), średnio-wieczną uczelnią.

Pierwszy wstrząs przyszedł wraz z reformacją. Co interesujące, dla heidelberskich profesorów i ich szlachetnie urodzonego mocodawcy nuka Lutra okazała się mniej pociągająca niż jego młodszego kolegi Jana Kalwina. Niewykluczone, że miało to związek z problematyką wolnej woli, którą roztrząsał już stary Marsyliusz. W 1563 roku w Heidelbergu powstał katechizm, który przyjął nazwę od miasta, jeden z najważniejszych dokumentów protestantyzmu reformowanego. Spisali go związani z uczelnią teologowie Zachasz Ursyn



Stara aula Uniwersytetu Ruprechta-Karola w Heidelbergu

i Caspar Olevianus na polecenie elektora Fryderyka III Wittelsbacha. Przez następane wieki, najczęściej w zależności od upodobania władcy, heidelberscy teologowie reprezentowali najrozmaitsze odmiany protestantyzmu. Prawdopodobnie dlatego miasto i uczelnię zostały srogo potraktowane w trakcie wojny trzydziestoletniej. Wojska Ligii Katolickiej zdobyły je już w 1622 roku. Pokazna biblioteka Palatynatu została wywieziona do Rzymu. XVII wiek w ogóle nie był taskawy dla Heidelbergu: po wojnie trzydziestoletniej uczelnia popadła w kontrreformacyjną stagnację, a pod koniec stulecia została częściowo zniszczona w wyniku kolejnych działań wojennych.

NAUKA I ZABAWA

W pełnej krasie odrodziła się dopiero 100 lat później, już jako instytucja świecka, dzięki wielkiemu księciu Karolowi Fryderykowi Badeńskiemu. Na XIX wiek przypada największa świetność uczelni. Już w 1816 roku profesurę otrzymał tu sam Hegel. Rozpędzonej

NOBLIŚCI I OSOBISTOŚCI

W Heidelbergu wykładali i studiowali nobliści: Albrecht Kossel (medycyna), Georg Wittig (chemia), Walter Bothe (fizyka), Philipp Lenard (fizyka) oraz osobistości tej klasy co Robert Bunsen, Max Born, Gustav Robert Kirchhoff i Friedrich August Kekulé von Stradonitz czy poeta romantyczny Joseph von Eichendorff.

machiny edukacyjnej nie zatrzymały nawet dwie światowe wojny. Uniwersytet i miasto wciąż się rozwijały, aktualnie na uczelni imienia Ruprechta-Karola studiuje niemal 30 tys. żaków.

Studenci stanowią niemal jedną czwartą populacji miasta, nic więc dziwnego, że odcisnęli i nadal odciskają na nim piętno akademickiego życia. Gdzie indziej srebrna dłoń na ul. Filozofów (Philosophenweg) napominałaby łagodnie i zapraszała do codziennego namysłu, by dalej doprowadzić zbyt zapamiętałych w dyskusjach studentów wprost do specjalnego więzienia dla żaków (Studentenkarzer). Oczywiście czasy się zmieniły, ale w XIX wieku było ono często „odwiedzane” przez akademicką brać, o czym świadczą czarujące, choć nieco niecenzuralne, rysunki i napisy na ścianach karceru.

W Heidelbergu działa ponad 30 korporacji studenckich, z których większość pamięta czasy, gdy akademickie dyskusje przeradzały się w knajpiane burdy, a nawet pojedynki. Tradycja rozwiązywania sporów na udep-

tanej ziemi przetrwała bowiem na Uniwersytecie Ruprechta-Karola aż do początków ubiegłego stulecia.

HEIDELBERSKIE IKONY

Pisząc o Heidelbergu, nie można pominąć jeszcze dwóch ikon-wizytówek miasta. Pierwszą jest malowniczo położony średniowieczny zamek Wittelsbachów, w którym znajduje się największa na świecie beczka wina, o pojemności przekraczającej 200 tys. litrów. Drugą zaś ogromna nowoczesna rzeźba trójnogiego konia drukarza (S-Printing Horse) autorstwa Jürgena Goertza, która stanęła na centralnym placu Nowego Miasta, przed Akademią Mediów Drukarskich. Taki właśnie jest Heidelberg: urzekająco piękny, przesiąknięty intelektualnym klimatem i pamięcią długich wieków a jednocześnie, jak wielu wielkich akademików, nieco niepoważny. Najlepiej określił go Goethe: *W tym mieście, ale także w jego otoczeniu, jest coś doprawdy idealnego.* □

JAK STUDIOWAĆ

Co piąty student Uniwersytetu Ruprechta-Karola jest obcokrajowcem. Studenci są tam traktowani jako jednostki z unikalnymi potrzebami i możliwościami. Programy stypendialne są prowadzone przez poszczególne wydziały i katedry. Najłatwiejszym sposobem uzyskania informacji o możliwościach studiowania w Heidelbergu jest skontaktowanie się z samorządami studenckim odpowiedniego kierunku.

Więcej informacji
na www.uni-heidelberg.de

Stary i nowy gmach uniwersytecki

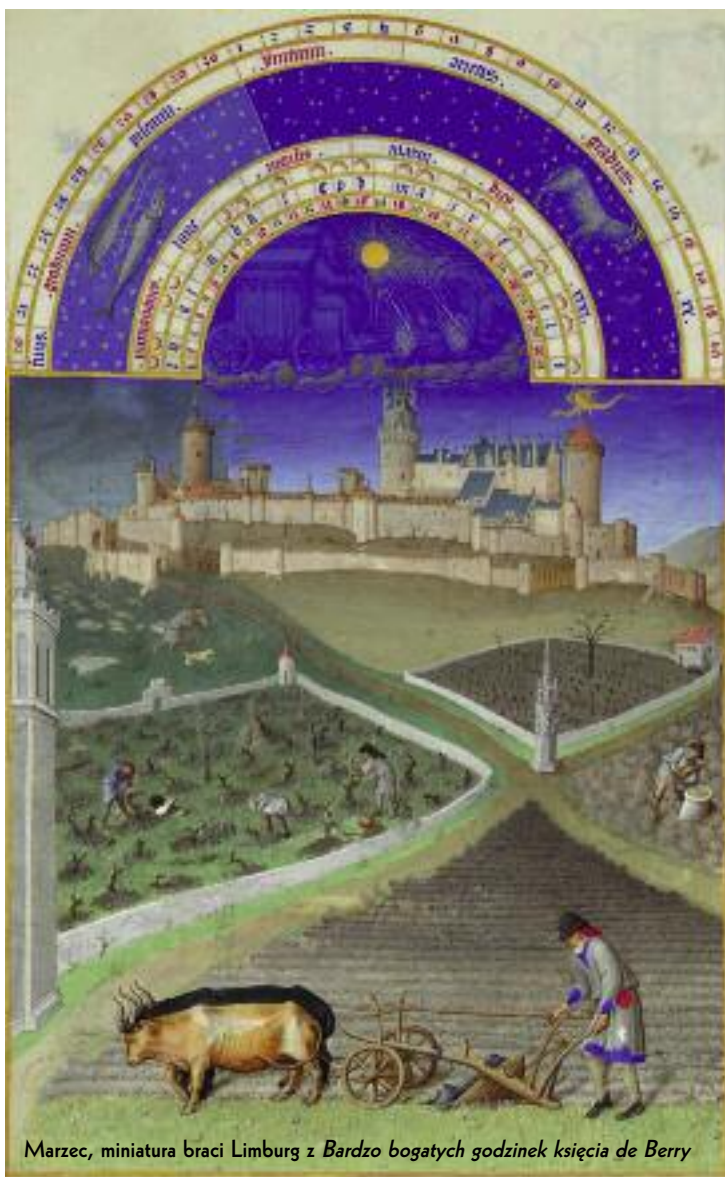
Wiosna średniowiecza

Dla ludzi żyjących w średniowieczu wiosna była porą roku najbardziej oczekiwaną, a jednocześnie najbardziej pracowitą. Koniec zimy (dodatnia temperatura w ciągu dnia i nocy oraz topnienie śniegów) oznaczał koniec groźby śmierci z głodu lub chłodu. Świat na nowo budził się do życia. Jednocześnie początek wiosny był sygnałem do rozpoczęcia intensywnych prac polowych. Im właśnie poświęcona jest miniatura ilustrująca marzec w kalendarzu z *Bardzo bogatych godzinek księcia de Berry* (o tym wspaniałym zabytku średniowiecznego malarstwa pisaliśmy w poprzednim numerze). Przedstawia siatkę niewielkich pól przedzielonych krzyżującymi się drogami; na ich rozstaju wznosi się okazała gotycka kapliczka. Mamy tu pola, łąki, a nawet winnicę. W tej scenografii przedstawiono typowe dla wiosennej pory prace polowe.

Trzech mężczyzn pracuje w winnicy. Przycinają winorośl, by późnym latem i wczesną jesienią zebrać dużo soczystych gron, z których później zrobią wino. Dzięki przycinaniu więcej składników odżywczych trafi do winogron, a nie do „bezproduktywnych” pędów i liści. Warto pamiętać, że w średniowieczu winorośl uprawiano również pod naszą szerokością geograficzną. Początki produkcji wina w Polsce sięgają początków naszej państwowości i organizacji struktur kościelnych, a więc przełomu X i XI wieku. Nie była to fanaberia – wino było niezbędne do sprawowania liturgii. Winorośl uprawiano w Wielkopolsce i Małopolsce. Trudnili się tym służebnicy biskupi, zakonnicy oraz mieszczanie; własne winnice miały nawet miasta (np. Kraków i Poznań). Współcześnie ślady dawnego przemysłu winnego możemy odnaleźć w nazwach geograficznych odwołujących się do uprawy winogron czy produkcji wina (np. Winna Góra, Winiary czy Winiarze). Wraz z ochłodzeniem klimatu oraz większą opłacalnością sprowadzania wina z Węgier (słynne węgryzyny i tokaje) oraz

państw niemieckich (np. wina reńskie) z winnego przemysłu powoli zrezygnowano.

Inna postać na miniaturze niesie wiązki siana na pastwisko, na którym pasą się owce. Wiosną, a szczególnie w okresie zwanym przedwiosniem, trawy często brakowało i zwierzęta trzeba było dokarmiać. Był to najtrudniejszy moment w roku dla hodowców i pasterzy. Powoli kończyły się zapasy słomy



Marzec, miniatura braci Limburg z *Bardzo bogatych godzinek księcia de Berry*

i siana z zeszłorocznych zbiorów, a świeża trawa jeszcze nie weszła.

Jeszcze inny bohater miniatury przygotowuje się do wiosennego zasiewu. Na pierwszym zaś planie chłop prowadzi plug ciągnięty przez parę wołów. Nie trzeba być znawcą sztuki, by dostrzec, że ten element nie pasuje do reszty kompozycji, wygląda, jakby został wycięty z innego obrazu i wklejony do marcowej miniatury. Wyjaśnieniem zagadki są dzieje rękopisu godzinek. Po śmierci księcia Jana de Berry oraz miniaturzystów braci Limburg niedokończony kodeks przechodził z rąk do rąk. W końcu jeden z właścicieli zdecydował się powierzyć ukończeniu niedopracowanych miniatur innym artystom. Stąd nie pasujący do kompozycji oracz, plug i woły.

ZŁOTY SMOK

Nad zajętymi siewami obowiązkami ludźmi, nad polami uprawnymi góruje wspaniały majestatyczny zamek. To położona w Poitou (zachodnia Francja) warownia Lusignan, jeden z licznych zamków księcia de Berry. Na bardzo wielu minia-

turach w kalendarzu artyści z niezwykłą wiernością sportretowali zamki fundatora. Niestety, nie możemy porównać zamku z miniatury z pierwowzorem – Lusignan z miniatury w zbiorze zburzonym w XVI wieku.

Interesujące, że nad tym na wskroś realistycznym krajobrazem unosi się bajkowy stwór: nad jedną z wież widzimy złotego smoka. Ten przybysz z innego świata trafił na miniaturę za sprawą bardzo popularnej w wiekach średnich legendy związanej z zamkiem Lusignan. Otóż według opowieści spisanej na polecenie księcia przez Jeana d'Arras, dworzanina księcia Jana de Berry, założyciel rodu Lusignan, niejaki Raymond, po wielu staraniach i przygodach poślubił czarodziejkę Meluzynę. Przyjęła ona oświadczyć, lecz pod jednym warunkiem – Raymond musiał przysiąc, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie będzie próbował spojrzeć swojej małżonki w sobotę. Jeśli złamie przysięgę, na jego ród spadną liczne plagi i nieszczęścia. Niestety, ciekawski rycerz złamał dane słowo i kiedy Meluzyna w sobotę zażywała kąpeli, zajął do łaźienki.

Przeżył szok – okazało się, że jego żona od pasa w dół ma kształt węzowego ogona. Wstrząśnięty Raymond nie przyznał się do złamania przysięgi. Jednak utrzymanie sprawy w sekrecie nie powstrzymało kary. Nad domem Lusignan zaczęły się zbierać czarne chmury – konflikty wewnętrzne, wojny z sąsiadami oraz niełaska władców doprowadziły ród na skraj katastrofy. Pewnego dnia, na wiadomość o kolejnych kłopotach, Raymond zaczął czynić żonie wyrzuty, że to jej sekret sprowadził na jego rodzinę te nieszczęścia. Zdradzona i obrażona Meluzyna rzuciła się z okna. Lecz nie zginęła. W powietrzu zamieniła się w skrzydlatego węza – smoka.

PYTANIA:

- Wyjaśnij, dlaczego w średniowieczu czekano na koniec zimy i początek wiosny.
- Zastanów się, dlaczego zaniechano uprawy winorośli w Polsce.
- Odwołując się do miniatury, wskaż, jakie prace polowe na niej przedstawiono. □

R E K L A M A

Całość floty rzymskiej dzielono na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotyllę posiłkowe dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sferderowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczną ilością mniejszych jednostek zwiadowczych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaprzetrzania i rywalizacji na teren działań wojennych. Wielką ich liczbą wyróżniał wrzaz z całą flotą rzymską (liczącą trzydzieści okrętów) w ekspedycje zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomus w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelną dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywą Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów doбираł sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterech quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonymi eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązki szypca, czyli dowodzącego mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szypców, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodził: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classiarii lub marines), wioslarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz flotista bądź trębacz nadający odpowiednie tempo wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wioslarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczką wiosłarską), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni skróconych sposobów walki: począwszy od wylewania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie koszów wypełnionych jadowitymi węzami bądź pierścieniami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz pryncypatu classiarii posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kołczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atle”) i przytoczone do niego pterygasy, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu beokiego ze specyficznym rondem opadającym ku dołowi i napolicznikami wianymi pod broda, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odwrócić także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liviusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabańskich przyrzekli dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowicie, choć byli w przymerzu z Rzymem na równych prawach, przysłałi uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarzżenia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podobnych nacji (symmacharii), którym nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojskowej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podlegających jednemu podlegającemu dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególne flotylli rzymskich w składzie rzymskiej załogi wchodziłi Iberowie, Brytwie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmacnioną metalowym umebem oraz maczugę. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowe płócienne tuniki. Wspominamy wcześniej Maurów w warunkach morskich ubrałi się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wietnią tunikę. Z barbarzyńców rekrutowali się także jednostki odpowiadające za walkę na odległość. Zaliczył do nich naleźy luczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim lucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz luskowy, nakarcznik, luk refleksyjny, którego ciężkie napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli lucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których naleźy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także procarze kreteńscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociuki, tunika, hełm i krótki miecz bądź pugnial. Jako procarze służyli też zwykle Brytwie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym sztyku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregu wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliźszych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stop rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucono kamieniami bądź olowanymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Greków, Rzymianach lub innych jessze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewer – periplus), zdruzgotania ich wiosłem kadłubem (dieklupus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w sztyk czołowy. Następnie podpyływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru oskrzydającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpylenie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w sztyk liniowy, które przepływały następnie ze sporym szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mógł zrykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także sztyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na wewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadadź starciu morskiemu charakter bitwy na twardym gruncie, zapozatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jedenaście metrów wysokości i jeden i dwadzieście metrów szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dołatkowo zapozatrzyone były w żakże dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do osmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. Dzięki kolowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przebiegającym przez jego wierzchołek, mógł być podnoszony i opuszczane opisaną kładką, a także obrócić jej na dowolną wartość, aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kołca bądź haka (coitus) umieszczonego na końcu pomostu, który przy jego opuszczaniu wbił się we wrogi pokład, łącząc dwa okręty, uniemożliwiając tym samym nieprzyjacieliowi jakiegokolwiek manewrowanie. Nie oznacza to, że Rzymianie w ogóle nie posiadali floty. Siły morskie Cezara do prostu nie były zbyt liczne. Dopiero rywalizacja z plemieniem Wenetów zamieszkującym północno-zachodnie wybrzeże Galii zmusiła go do budowy stosunkowo silnej floty.

W Internecie mamy więcej miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny
www.histmag.org

Zapalmy światło wolności

ANNA BROJER
PRACOWNIK BAP IPN

Tegoroczne święta Bożego Narodzenia przynoszą dzielnemu narodowi polskiemu niewiele radości. Polacy zostali zdradzeni przez własny rząd. Ci, którzy nimi rządzą, oraz ich totalitarni sojusznicy, obawiają się wolności, którą Polacy tak bardzo umiłowali. Na pierwsze przejawy wolności rządzący odpowiedzieli brutalną siłą, zabójstwami, masowymi aresztowaniami i utworzeniem obozów internowania.

Tak w 1981 roku mówił w bożonarodzeniowym orędziu prezydent USA Ronald Reagan. Od ponad tygodnia Polacy żyli w warunkach stanu wojennego. Reagan zdecydowanie potępił jego autorów, zadeklarował pomoc żywnościową dla opozycji i uchodźców oraz całkowite poparcie amerykańskiego rządu dla wolnościowych dążeń „Solidarności”. Prezydent zwrócił się do swoich rodaków o symboliczne wyrażenie jedności z Polakami. W oknach amerykańskich domów – także Białego Domu – w wieczór wigilijny miały zapłonąć świece. We wcześniejszych latach XX wieku za sprawą panoszącego się zła pojawiła się groźba, że światła całego świata zgasną. Niech płomień milionów świec w amerykańskich domach będzie świadectwem, że światła wolności nie uda się zgasić – apelował do Amerykanów Reagan. Ten jego wyjątkowy gest zapisał się w historii jako jeden z najbardziej wyrazistych sprzeciwów wobec stanu wojennego. Również w oknie Pałacu Apostolskiego w Watykanie tej zimy zapłonęła świeca – na znak solidarności z rodakami zapalił ją papież Jan Paweł II.

W grudniu zeszłego roku minęły 32 lata, odkąd mocą uchwały Rady Państwa, wbrew zapisom Konstytucji PRL, wprowadzono w Polsce stan wojenny. Wielu pamięta tę grudniową noc i poranek – co wtedy robili, gdzie byli, co czuli. Jedni wspominają dziecięce rozczarowanie niedzielą bez „Teleranka”, inni wylączone telefony i szok związany z widokiem czotków na ulicach. Większość ma przed oczami złowrogie wystąpienie telewizyjne gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Dla niektórych ten moment dziś jest raczej komiczny. Dla młodego pokolenia wydarzenia zimy

1981 roku i kolejnych lat terroru często są zupełnie pozbawione znaczenia i ledwo dają się odróżnić od innych tragicznych wydarzeń zamierzczłych już dla nich czasów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Zapewne nie dowiemy się, ile dokładnie osób padło ofiarą stanu wojennego. Wiemy, ilu zastrzelili lub zakałowały na śmierć milicja i ZOMO, wiemy, ilu zostało internowanych. A ilu zostało pobitych, straciło pracę albo było zmuszonych do emigracji? W bilansie stanu wojennego nie powinno zabraknąć też złamanym życiorysów wielu wybitnych artystów, intelektualistów i działaczy społecznych. Te wszystkie ofiary to niepowetowana strata dla polskiej kultury, nauki i gospodarki. Nie wiemy wreszcie, ilu umarło nie od kuli czy pobicia, lecz bardziej „zwyyczajnie” – na zawal serca czy w wyniku udaru, które nie wystąpiłyby, gdyby nie tragiczne wydarzenia początku lat osiemdziesiątych XX wieku. Ilu z powodu niedziałających telefonów nie pomogło pogotowie? Tych ofiar nie ma w żadnych statystykach. Czy pamiętamy o dzieciach osób internowanych, które niejednokrotnie oddawano do domów dziecka? A przecież stan wojenny odcisnął piętno na życiu większości polskich rodzin.

ŚWIATŁO WOLNOŚCI

Kolejna rocznica wyjścia wojska na ulice miast i zdławienia tłącej się w Polsce wolności daje nam możliwość nie tylko odświeżenia pamięci tych o wszystkich ofiarach i złożenia im hołdu, ale też okazję do manifestacji dotyczącej naszego życia dzisiaj. Nawiązując do legendarnego już wezwania prezydenta Ronalda Reagana, Instytut Pamięci

Narodowej namawiał Polaków do wystawienia w oknach domów Światła Wolności. Zapaliliśmy je 13 grudnia o godz. 19.30 jako znak pamięci o ofiarach stanu wojennego i manifestacją naszego przywiązania do idei wolności, demokracji i prawdy niezależnie od czasu i warunków politycznych. O poranku na Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie zablęśta symboliczna iluminacja upamiętniająca ofiary stanu wojennego. W Internecie wirtualne światło zapaliły dziesiątki tysięcy ludzi. Do akcji przyłączyli się marszałkowie województw, lokalne media i szkoły wszystkich poziomów w całej Polsce. Tegoroczna edycja kampanii została objęta honorowym patronatem prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, który wraz z małżonką zapalił świeczkę w oknie Belwederu.

Jak co roku oddziały Instytutu Pamięci Narodowej w całym kraju zorganizowały rocznicowe wystawy, koncerty i spotkania edukacyjne, służące upamiętnieniu i przybliżeniu młodemu pokoleniu znaczenia grudniowej rocznicy. Światło Wolności było częścią tej ogólnopolskiej akcji. Szkołom zaproponowano zorganizowanie lekcji rocznicowych, których dopełnieniem miał być pokaz filmu dokumentalnego autorstwa zespołu z Biura Edukacji Publicznej IPN pt. *Próba generalna*. Opowiada o strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej, swoistym preludem do stanu wojennego. Pokazuje życie młodych ludzi w warunkach komunistycznego reżimu lat osiemdziesiątych XX wieku. Opowiada o młodych ludziach, pełnych wiary w przyszłość, którzy stają wobec brutalności i bezwzględności otaczającego ich systemu. Film może szczególnie przemawiać do młodego pokolenia. Taka forma edukacyjna pobudza w młodych ciekawość wydarzeń stanu wojennego, zachęca do zadawania pytań o jego genezę, przebieg i konsekwencje, ma uwrażliwić ich na indywidualne tragedie żyjących wtedy Polaków. Mamy nadzieję, że dzięki obrazowi ofiary represji gen. Jaruzelskiego przestają być anonimowe, stając się bliższe dzisiejszemu pokoleniu. Zapalenie Światła Wolności było osobistym gestem hołdu wobec cierpienia konkretnych osób.

W przyszłym roku IPN planuje powtórzenie akcji. Aktualne działania edukacyjne instytutu można śledzić na www.pamiec.pl. □

Panowie ognia

Do 9 lutego 2014 roku w Muzeum Narodowym w Kielcach prezentowana jest wystawa archeologiczna zatytułowana *Panowie Ognia. Hutnictwo żelaza na ziemiach polskich w starożytności*. Ta pod wieloma względami szczególnie ekspozycja przypomina o bezmiennym trudzie i geniuszu pierwszych metalurgów, którzy jak prawdziwi „panowie ognia” ujarzмили żywioły, dokonując transformacji skały w użyteczny metal. Ogromny postęp cywilizacyjny, jaki miał miejsce przez ostatnie 2 tys. lat, zawdzięczamy bowiem znajomości żelaza. Jego doskonale właściwości techniczne oraz powszechność występowania rudy w przyrodzie umożliwiły szybki rozwój głównych gałęzi gospodarki oraz przełamanie wielu barier ekologicznych. Choć korzystamy obecnie z rozwiniętych technologii opartych na innych surowcach, to nadal większość urządzeń produkcyjnych wykonywana jest ze stopów żelaza.

NA POCZĄTKU BYŁA RUDA

Umiejętność wytopu żelaza z rud pojawiła się na ziemiach polskich stosunkowo późno i poprzedził ją długi

etap kowalstwa korzystającego z importowanego pólusowca. Wbrew obiegowym opiniom nie ujawniono dotąd przekonujących dowodów na istnienie rodzimego hutnictwa u ludności kultury łużyckiej i pomorsko-kloszowej w okresie halstańskim. Co więcej, nie znajdujemy ich także u Celtów zamieszkujących ziemie polskie w okresie lateńskim. Nieliczne znaleziska żużli pochodzące z tego okresu reprezentują raczej postredukcyjne etapy procesu metalurgicznego, związane z fazą oczyszczania żelaza. Jeśli nawet w tym okresie istniało rodzime hutnictwo, to prawdziwy rozwój tej dziedziny wytwórczości należy wiązać dopiero z kulturą przeworską, która na przełomie III i II wieku p.n.e. zajęła tereny środkowej i południowej Polski, tworząc jedną z największych i najtrwalszych jednostek kulturowych północno-wschodniego *Barbaricum*. Prawdziwy rozwój tej dziedziny wytwórczości nastąpił jednak dopiero w pierwszych wiekach n.e.

Działalność metalurgiczną na ziemiach polskich cechuje w tym okresie ogromna koncentracja produkcji sku-

pionej w obrębie wielkich centrów hutniczych ulokowanych w Górach Świętokrzyskich, na Mazowszu i Śląsku. Przy dużych podobieństwach technologii opartej na piecu dymarskim typu po-linkowego do jednorazowego wytopu w każdym z wymienionych regionów stosowano inne rozwiązania organizacyjne, które najlepiej odpowiadały miejscowym warunkom przyrodniczym i istniejącym stosunkom społeczno-gospodarczym.

Setki tysięcy pieców działających przez cały okres istnienia kultury przeworskiej zabezpieczały zapotrzebowanie na żelazo miejscowych społeczności, ale istnieją także przesłanki świadczące o tym, że w pewnych okresach ogromne nadwyżki tego cennego surowca, produkowane zwłaszcza w Górach Świętokrzyskich i na Mazowszu, mogły trafiać na rynki zewnętrzne. Powstanie wielkich centrów metalurgicznych na ziemiach polskich mogło być związane z sytuacją polityczną w całej barbarzyńskiej Europie i stanowić element szerszej współpracy wolnych plemion na pograniczu imperium rzymskiego.





Ekspozycje i wizualizacje, jakie można oglądać na wystawie „Panowie ognia” w kieleckim Muzeum Narodowym

TRUDNE WYTAPIANIE

To pierwsza w dziejach polskiej archeologii tak duża wystawa poświęcona tej problematyce, a jej autorzy stanęli przed wyjątkowo trudnym zadaniem pokazania początków hutnictwa w sposób przystępny i ciekawy. Dziejami żelaza i sposobami jego otrzymywania zajmuje się nowa, działająca na pograniczu nauk historycznych i doświadczalnych, dziedzina wiedzy, zwana archeometalurgią. Przedmiotem jej badań są głównie pozostałości różnych procesów technologicznych, które z reguły nie mają wybitnych walorów wystawienniczych. Jak w związku z tym pokazać warsztat pradziejowego hutnika, jego narzędzia pracy oraz produkt finalny technicznego geniuszu metalurgów? W jaki sposób przedstawić widzowi skomplikowany proces wytopu żelaza, zasadniczo różny od tego, co zna on z medialnego przekazu? Jest to tym trudniejsze, że pomimo wieloletnich badań interdyscyplinarnych nie potrafimy do końca odtworzyć tej zapomnianej technologii.

Wystawa opowiada wprawdzie o początkach masowej produkcji żelaza na ziemiach polskich u schyłku starożytności, ale zanim widz zapozna się z dokonaniem pradziejowych hutników, odbędzie symboliczną podróż po drogach, jakimi wędrowało żelazo u zarania jego wykorzystania przez człowieka. Historia zaczyna się od pierwszych zastosowań tego metalu na Bliskim Wschodzie, gdzie surowcem do wyrobu przedmiotów żelaznych mogły być pochodzące z kosmosu meteoryty, poprzez adaptację „czarnej metalurgii” w Europie w okresie halsztackim aż po szerokie rozprzestrzenienie się umiejętności hutniczych w okresie lateńskim, co zawdzięczamy Celtom. Ten wczesny etap

rozwoju metalurgii ilustrują unikalne inkrustowane żelazem zabytki brązowe z Gamowa, importowane kęsy surowego żelaza z Wiciny i Witowa oraz celtyckie narzędzia i broń.

W opowieści o początkach żelaza nie mogło zabraknąć również wątków technicznych i technologicznych. Składają się na nie zagadnienia związane z surowcami potrzebnymi do wytopu oraz metodami ich przygotowywania. Najważniejszy jest jednak sam proces redukcji, który omówiony został w postaci czytelnie opracowanych wykresów i modeli. Niezależnie przedstawiono go w formie animacji komputerowych, dzięki czemu widz może samodzielnie przeprowadzić wirtualny wytop, kreuując wszystkie jego fazy – począwszy od wybudowania pieca, po uzyskanie metalicznego żelaza.

Trzon wystawy tworzą jednak trzy niezależne ekspozycje poświęcone wielkim centrům hutniczym kultury prze-

worskiej w Górach Świętokrzyskich, na Mazowszu i Śląsku. Elementem, wokół którego koncentruje się narracja, jest charakterystyczny dla każdego z tych regionów warsztat pracy, tzw. piecowisko. Towarzyszą im nietypowe i rzadko pokazywane zabytki związane z szeroko rozumianą metalurgią. Szczególny klimat prezentacji tworzą ciekawie skomponowane zdjęcia, wykresy i plany prezentujące wyniki interdyscyplinarnych badań poszczególnych regionów produkcyjnych.

Wystawie towarzyszą interaktywne animacje komputerowe oraz komiks edukacyjny o starożytnym hutnictwie świętokrzyskim skierowany do dzieci i młodzieży, który można obejrzeć w wersji *on-line* na stronie www.panowieognia.mnki.pl/komiks.html.

Kielecka wystawa potwierdza, że nawet trudny i bardzo specjalistyczny temat można pokazać w ciekawy i przystępny sposób. Serdecznie zapraszamy. □



Historia jest ważna!

Klub Nauczyciela Historii przy Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku realizuje misję podnoszenia świadomości historycznej wśród dzieci i młodzieży. Doceniając i szanując wysiłek nauczycieli w realizowaniu tego istotnego zadania, wystąpiliśmy z inicjatywą powołania Klubu Nauczyciela Historii przy naszym muzeum. Jego celem jest wspieranie nauczycieli w rozwoju własnych zainteresowań historycznych i pasji pedagogicznej, a także budowa środowiska otwartego na wymianę doświadczeń zawodowych. Głęboko wierzymy, że dla budowy nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego i podjęcia narodowego dziedzictwa konieczna jest nie tylko znajomość naszych dziejów, ale i głębokie do nich przywiązanie. Dlatego mottem spotkania inauguracyjnego stało się hasło „Historia jest ważna”.

Inauguracyjne spotkanie klubu, które odbyło się 18 i 19 października 2013 roku, zostało wsparte przez Fundację PKO Banku Polskiego. Wzięło w nim udział ok. 80 nauczycieli historii z całej

Polski, reprezentujących szkoły podstawowe, gimnazja i licea. Dzięki życzliwości Kancelarii Prezydenta uroczysta inauguracja działalności klubu miała miejsce w Belwederze. Po odczytaniu listu pierwszej damy Anny Komorowskiej nasi goście wysłuchali wykładów profesorów Henryka Samsonowicza pt. „Historia jest ważna” oraz Janusza Odziemkowskiego pt. „Proces odbudowy państwa polskiego w latach 1918 – 1922”. Ponadto odbył się pokaz pamiątek ze zbiorów muzeum oraz kameralny koncert w wykonaniu artystów z Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina. Następnie nauczyciele wraz z gośćmi honorowymi i pracownikami muzeum złożyli kwiaty pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego i wzięli udział w uroczystej kolacji.

Następnego dnia zaprosiliśmy nauczycieli na trzy spotkania panelowe prowadzone przez pracowników muzeum. Zaprezentowaliśmy naszą ofertę edukacyjną, program działalności klubu na najbliższy rok, a także porozma-

wialiśmy o ich oczekiwaniach i potrzebach związanych z klubem. Następnie przejechaliśmy do Sulejówka, gdzie uczestnicy spotkania mieli okazję zwiedzić dworek „Milusin” oraz otaczający go ogród.

Członkowie klubu zostaną zaproszeni do współpracy w ramach naszych projektów muzealno-edukacyjnych. O naszych działaniach będziemy informować regularnie, dołożymy także wszelkich starań, aby co roku zapraszać nauczycieli na konferencję. W ciągu roku będziemy przysyłać członkom klubu artykuły i opracowania naukowe, a także informacje o naszych programach edukacyjnych. Już teraz zapraszamy do udziału w konkursie na projekt edukacyjny związany z rokiem stulecia Legionów Polskich. Do klubu można się przyłączyć w każdej chwili. Wystarczy przesłać pocztą na adres muzeum wypełnioną deklarację członkowską, którą można otrzymać pisząc na adres edukacja@muzeumpiłsudski.pl. Serdecznie zapraszamy! □



Pamiętkowe zdjęcie członków Klubu Nauczyciela Historii przed dworkiem „Milusin” w Sulejówku